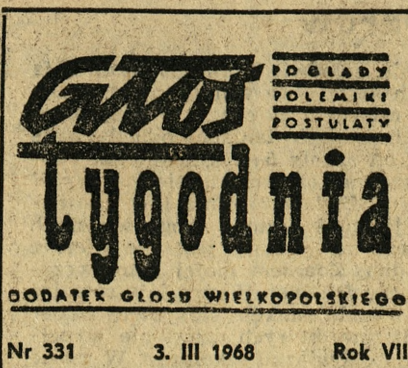
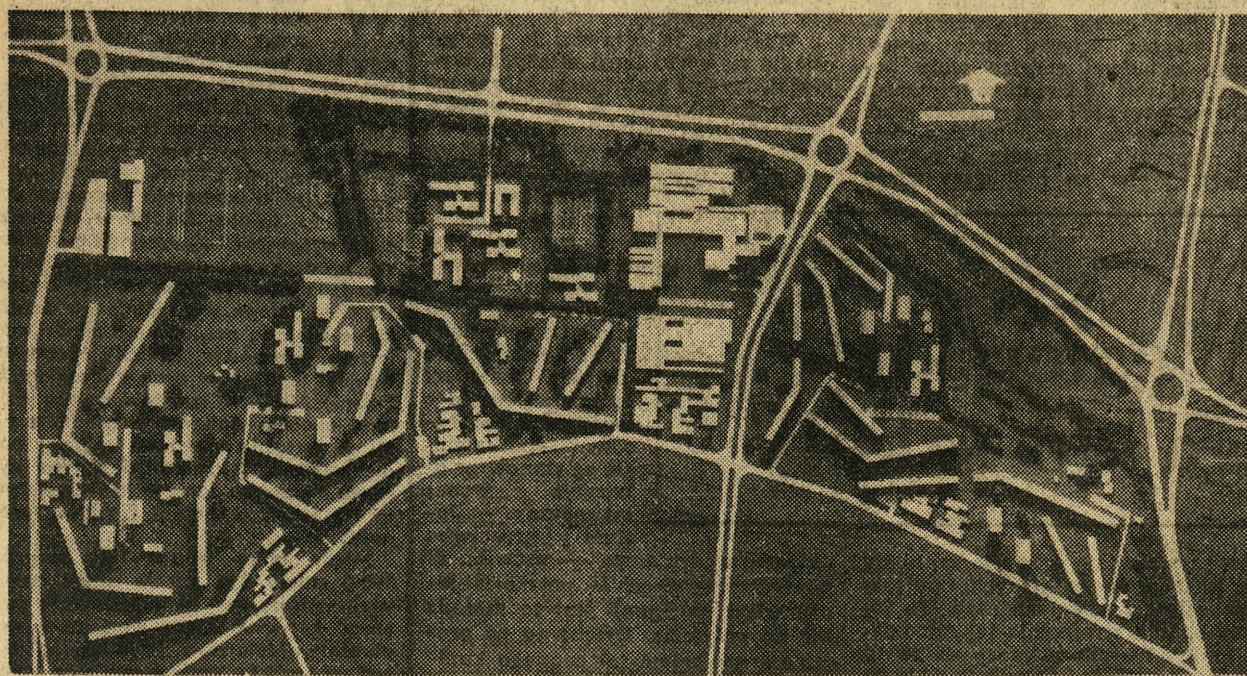


WINOGRADY

Najlepszy projekt osiedla



Nr 331 3. III 1968 Rok VIII



Rzut oka na makietę osiedla wystarczy, by dostrzec konsekwentny i przejrzysty podział całości na trzy strefy. Pierwsza, zewnętrzna, znajdująca się tuż przy ulicy, po której odbywa się miejski ruch kołowy, obejmuje pawilony usługowo-handlowe, przychodnię lekarską, garaże. Druga, wewnętrzna, to domy mieszkalne tak usytuowane, że przynajmniej z jednego okna każdego mieszkania widać przestrzeń. W obrębie tej strefy raczej nie przewiduje się żadnego ruchu kołowego, co ma pierwszorzędne znaczenie dla bezpieczeństwa, zwłaszcza dzieci. Wreszcie w trzeciej strefie, jeszcze bardziej oddalonej od jezdnii, znajdują się szkoły, przedszkole, żłobek, ogródek jordanowski.

Wszystkie trzy strefy tak rozmieszczone, że domy mieszkalne są położone centralnie wobec placówek spełniających funkcje usługowe. Dzieci, idące do swej szkoły, ani razu nie przechodzą przez jezdnię. Ba, nie idą nawet ulicą, po której jeżdżą samochody! Drogi piesze tworzą wewnątrz osiedla ciągi wysadzone zielenią. W ich usytuowaniu uderza asymetria, podyktowana zresztą chęcią maksymalnego skrócenia dróg „zawszad” do zewszad”. Ale również żaden z 5-kondygnacyjnych domów, ani żaden z 13-kondygnacyjnych punktów nie jest ustawiony w równym szeregu wobec sąsiadów. Tu o układzie zadecydowało kilka warunków.

Pora wyjaśnić, że chodzi o Osiedle Winogrady, które zaczyna budować Poznańska Spółdzielnia Mieszkaniowa. Obliczane jest ono na około 70 000 mieszkańców. Całość tego osiedla składać się będzie z pięciu jednostek, oznaczonych roboczo A, B, C, D, E, a makietę opisaną na wstępie przedstawia jednostkę D, gdzie zamieszka około 7000–8000 osób. Tyle bowiem przewiduje się mieszkańców na tzw. urbanistyczną jednostkę modelową, która prócz mieszkań musi posiadać szkołę, żłobek, dwa przedszkola, przychodnię i kompleks placówek usługowo-handlowych. Gotowy też jest projekt wstępny części E, składającej się z dwóch jednostek podstawowych. Projekt realizacyjny natomiast znajduje się w opracowaniu. W sumie rejon D i E pomieszcza około 24 000 mieszkańców.

Projekt Dzielnicy Winogrady narodził się w poznańskim „Inwestprojecie” pracującym na usługi Centralnego Związku Spółdzielni Budownictwa Mieszkaniowego, w pracowni mgr. inż. Czesława Nawrockiego, który jest równocześnie generalnym projektantem tego opracowania. Głównym projektantem Dzielnicy Winogrady jest mgr. inż. Marian Weigt, który projektował budynki. Urbanistkę przygotowywano w szerszym zespole: architekci Jerzy Buszkiewicz, Marian Weigt i Piotr Krysztop. Nazwiska te o tyle warto są zapamiętać, że autorzy projektu osiedla otrzymali I nagrodę za najlepszy w Polsce projekt spółdzielczego osiedla mieszkaniowego w latach 1966–67.

Rzeczywiście, przynależało, że projekt osiedla wywołał swego rodzaju przewrót w naszym budownictwie osiedlowym. Dotychczas bowiem architekci skrepowani przepisami, a zwłaszcza „zarządzeniem 118” narzucającym różne normy i normatywy oraz reżim oszczędnościowy, stawiali często przed koniecznością projektowania budynków „grubych”, co pociągało za sobą konieczność stosowania niekorzystnych i niewygodnych

układów mieszkań, ciemnych kuchni itp. Na Winogradach uniknięto — mieszcząc się w ramach zarządzenia 118! — budynków „grubych”. Wprowadzono budynki „płaskie”, o mieszniach kaniach tzw. przestrztałowych o oknach z obu stron budynku. Z normami kubatury poradzono sobie w ten sposób, że przedłużono budynki 5-kondygnacyjne, w których usytuowano większe mieszkania. To, co stracono na „spłaszczeniu” domów, odrobiono na znacznym wyeliminowaniu ścian szczytowych. Wydłużenie było też jednym z powodów asymetrii w położeniu względem siebie poszczególnych bloków.

Asymetrię dyktowały nie tylko względy straszczające się hasłem: „z każdego mieszkania przynajmniej jedno okno z dalekim widokiem!” i długi kształt budynków. Determinowała ją też dość bogata rzeźba terenu. Narzucały również normy zarządzenia 118, które obok zagęszczenia reguluje także normy uzbrojenia terenu, intensywność dróg itp. Autorem udało się chyba pogodzić te wszystkie wymogi, spowodowane przecież zrozumiętą koniecznością oszczędzania. Stworzyli nie tylko sto sunkowo dużo wolnej i zielonej przestrzeni, ale nawet pomyśleli o specjalnych placach do zabaw dla dzieci.

Zaprojektowano też uniwersalne płyty, które można będzie stosować

Winogrady. Po prawej stronie osiedle D, po lewej osiedle E. Granicą między tymi jednostkami jest ulica Murawa przebiegająca po osi północ-południe. U dołu półkolistie biegnie ulica Słowiańska.

w różnych układach i wariantach za równo w budynkach niskich jak i 13-kondygnacyjnych. Trzeba tu bowiem dodać — o czym już zresztą pisaaliśmy na łamach „Głosu” — że budowlę będzie się tu wznosić z płyt wytwarzanych na miejscu.

Całkowity koszt budowy jednostek D i E na 24 000 mieszkańców wyniesie około 820 milionów złotych. Daje to pewne wyobrażenie o rozmiarach tego przedsięwzięcia, które ma być ukończone w 1972 roku. Komunikacja będzie wówczas jeszcze autobusowa, ulicą Serbską, ale w perspektywie już się myśli o przedłużeniu linii obecnej 15 i 16 do pętli przy stacji ulicą Naramowicką, projektowaną Serbską i potem dalej aż na Bonin.

Projektanci Osiedla Winogrady nie uparli się jeszcze ze wszystkim. Ma ją oni, a ściślej — mają wykonawcy, kłopoty z technologią. Rzecz dotyczy elewacji. Jeśli materiał jest mało wytrzymały, to musi być go dużo, więc trzeba projektować małe okna. Z tym wiąże się też kłopoty z tzw. kera-

Dokończenie na str. 2

Przepraszam, czy można...

Cierpliwości, za chwilę wyjaśnię, o co chodzi. Rzecz zrodziła się z bardzo prozaicznego rachunku, a sam rachunek u progu obecnego roku szkolnego. Mój syn, zaczynający właśnie pierwszą klasę liceum, przyniósł któregoś dnia spis podstawowych i uzupełniających lektur. Obejmował on ni mniej, ni więcej tylko 25 pozycji. Mniejsza o tytuły. Tak czy owak usiadłem natychmiast i przystąpiłem do swobodnego remanentu, nie wywieszając jednak na drzwiach mieszkania tak znanej z naszych sklepów tabliczki, że zamknięte z powodu inwentury, za co zresztą specjalnej pochwały nie żądam. Mój remanent nie trwał długo, niemniej kosztował sporo gimnastyki i nerwów. Bo jak tu się nie denerwować, skoro manko wyniosło prawie 90 procent wykazanych w spisie tytułów. Sprawa prosta — na półkach wcale przecież nie skromnej biblioteki domowej znalazłem zaledwie czterdzieści tytułów objętych szkolnym spisem. No — pomyślałem sobie — ostatecznie te inne pozycje znajdzie się u znajomych, w różnych dostępnych instytucjach, a może w księgarni.

Okazało się wnet, że mój optymizm był przedwczesny. O ile jeszcze dość szybko znalazłem gdzieś „Antygone”, o ile stosunkowo łatwo do uzyskania okazały się tomy „Faraona” czy „Porwót pusta” o tyle wiele pozostałych pozycji trzeba było zaliczyć do nieosiągalnych, lub osiągalnych z trudem. Na uzyskanie „Od prawy postów greckich” zużyłem kilka telefonów, „Makbeta” szu-

kałem kilka tygodni, a pytanie o „Opowiadania” Marka Twaina spotykało się wśród znajomych tylko wzdręgnięciem ramion...

Dalsze badania wykazały, że biblioteka szkolna też nie jest zbyt zasobna, a nadto — ponieważ pierwszych klas jest kilka — dostępne w niej lektury obowiązkowe krążyły bez przerwy.

Kłopoty z uzyskaniem lektur dla młodzieży szkolnej nie są zjawiskiem nowym. Piszę się o tym co pewien czas i także „Głos” zamieścił niedawno po-

Eugeniusz Cofa

Proponuję PWLS

zycję ilustrującą doskonale zmartwienie nie tyle uczniów ile... rodziców.

Na jedną z ostatnich publikacji otrzymałem nawet bardzo rzeczowe i skrupulatne wyjaśnienie poznańskiej dykcji „Domu Książki”. Co z niego wynika? Przytoczę parę liczb, jakże charakterystycznych. Oto Neverlego „Chłopiec z salskich stepów” Wydanie z 1967 roku miało 60 000 nakładu. Z tej liczby na nasze województwo przydzielono 1505 egzemplarzy do wolnej sprzedaży i 2 350 tomów dla bibliotek szkolnych; „W pustyni i puszcy” — nakład 120 000 egz., przydział na Poznań — 7000 sztuk; „Szyfrowe prace” — nakład 10 tys.

Wiesław Porzycki

Komu premię?

A negdotami i dowcipami na temat premii, publikowanymi choćby tylko na łamach „Szpilek”, dałoby się wytapetować spory pokój. Jest bowiem — co tu ukrywać — nagradzanie ludzi sprawą delikatną i szczególnej natury budzącą zawsze znaczny rezonans społeczny. Bowiem — i to powiedzmy otwarcie — wprowadzić bodźce materialne nie są jedynym elementem oceny pracy człowieka, lecz na ich działanie wciąż jeszcze większość pracujących reaguje najżywiej. A skoro tak...

Wokół rozdzielnictwa nagród, premii i awansów nie brak nieporozumień. Nie mam przy tym na myśli nieporozumień typu: czemu dostał Kowalski zamiast Wiśniewskiego; idzie o zasady kryteriów premiowania czy awansowania pracowników, o linię konsekwentnego działania kierownictw fabryk lub instytucji jednoznacznej i zrozumiałej dla załóg. Tak pomyślany system wyróżniania pracowników powinien stać się ważnym elementem indywidualnej oceny pracowników, a zarazem czynnikiem wychowawczym, pomocnym w kształtowaniu postaw kolektywu pracowniczego, pożądanym przez socjalistycznego pracodawcę.

Anegdota anegdotami, niemniej metody nagradzania i awansowania w niektórych fabrykach przedsiębiorstwach innego typu, urzędach i instytucjach — wymagają zdecydowanego ulepszenia. Oczywiście, nie chodzi o wzięcie pod uwagę sugestii, wysuwanych tu i ówdzie, zgodnie z którymi dosłownie za jakikolwiek wysiłek pracownika, wykraczający poza jego podstawowe obowiązki — powinna „lecieć” premia. Nie powinien się też tolerować rozdrabniania premii na małe sumy, w celu obdzielania możliwie wielkiej liczby za trudnionych. Równa się to bowiem faktycznemu likwidowaniu premii w bodźców i przekształceniu przy padających z tytułu nagród sum niemal w niewielkie dodatki do płacy.

Premie i awanse będąc wyrazem oceny wysiłku i umiejętności (teoretycznych i praktycznych) pracowników, kształtują jego postawę. Ale nie tylko. Kształtują także postawę jego otoczenia, a więc szerszego kolektywu. Wyciągane są wnioski, dotyczące najefektywniejszej formuły dobrej roboty, znajdującej w określonych warunkach zakładu X uznanie kierownictwa. Ludzie się zastanawiają, za co ktoś dostał premię, dlaczego ktoś awansował, by dojść do pewnej konkluzji na użytek własny: jak pracować.

Otóż to! Wszystko w tym łańcuchu przyczyn i skutków się zgadza, pod warunkiem, że premie i awanse

w zakładzie X rozdzieli się rzetelnie, z bédami typu marginesowego w przeciwnym razie premie i przeszeregowania pracowników, pomyślane jako ważny instrument wychowawczy — nabierają cech przeciwnych: działają antywychowawczo.

Na ogół współtowarzysze pracy dość trafnie umieją ocenić, czy ktoś zostaje wyróżniony rzeczywiście za ofiarność w pracy, za osiągnięcia, energię, pomysłowość, inicjatywę, wysokie kwalifikacje, bądź inne walory — czy też sukcesy premiowo-awansowe zawdzięcza pewnym powiązaniom, „chodom”, wazelinarstwu. W przypadkach, gdy kolektyw pracowniczy ma do czynienia z takimi właśnie faktami, trzeba się liczyć nie tylko z przejawami niezadowolonia; może nastąpić pogorszenie stosunku do pracy ze strony całych grup.

O rozdrabnianiu środków, przeznaczonych na premie lub podwyżki, była już mowa. Niemniej sięgniemy jeszcze do przyczyn chwytania się gdzieś tam tej metody. W przekonaniu tych, którzy ją stosują, ma ona na celu „zrobienie dobrze” możliwie szerokiemu ogółowi zatrudnionych. „Żeby nikt nie krzyczał” — brzmi motywacja. Tego rodzaju wygodnicza formuła nie tylko zniechęca ambitniejszego pracownika do wysiłku; ona powoduje zarazem pseudo-demokratyczne zrównywanie robotników czy urzędników i kłajstrowanie występujących przeciw w każdym zespole ludzkim różnic we wkładzie pracy, talencie, umiejętnościach itp. Spece od „świętego spokoju” z pomocą swej metody wy mieniają się też od wskazania, kto pracuje tylko poprawnie bądź gorzej, czy też reprezentuje mniejsze walory — i dlatego premiowany (awansowany) w aktualnym stanie rzeczy być nie może.

Znam duży zakład przemysłowy w Poznaniu, gdzie kwartalne premie za współzawodnictwo — taka przylecia się praktyka — otrzymują wszyscy jego uczestnicy. Wobec tego stymy, przypadające „na głowę” oscylują wokół stu — stu pięćdziesięciu złotych. Do czego tego rodzaju nagrody mają zachęcić?

Konsekwencja i wyrazistość systemu wyróżniania pracowników jest niezbędna. Premiujemy i awansujemy ludzi za jakość roboty, kwalifikacje, za walory przydatne w pracy, za wzorowość, socjalistyczną postawę wobec obowiązków zawodowych i społecznych. Potrzebna jest przy tym jawność rozdzielnictwa. Niestety, nadal w licznych zakładach pracy niełatwo się dowie-

Dokończenie na str. 2

(poprzednio wydano łącznie 110 000 egzemplarzy tego dzieła). Jak stwierdza „Dom Książki” — co roku lub co kilka lat powtarza się pewne tytuły, wydaje nowe nakłady. Sytuacja jest ponoć z każdym rokiem lepsza. Nie mniej i ta instytucja i zainteresowane wydawaniem lektur ministerstwa doskonale znają trudną sytuację na rynku księgarskim, kłopoty szkół i uczniów. (Przy okazji — o wiele gorzej ma się sprawa z wydawaniem atlasów świata na potrzeby młodzieży szkolnej. W latach 1966 i 1967 u-

nich czy rolniczych. Wiadomo jednak, że nie w pełni zaspokajają one potrzeby młodzieży szkolnej w zakresie lektur. Myślę przede wszystkim o podręcznikach, które Państwowe Wydawnictwo Lektur Szkolnych? Proszę pomyśleć: jest instytucja, która zbiera dane o potrzebach szkół, ona kieruje ruchem wydawniczym w zakresie potrzebnych dzieł, ona zleca wydrukowanie odpowiedniej liczby tomów i przekazuje w należytych liczbach do poszczególnych okręgów kurytoryjnych. Ba — w tak pojętym ruchu wydawniczym można by nawet przekazać rozdzielnictwo szkolom, podobnie jak to się czyni z podręcznikami szkolnymi. Książki muszą być tanie, w dużych nakładach. Można przecież lektury szkolne wydawać na gorszym papierze, oprawne w karton.

Powołanie PWLS w niczym nie umniejszało egzystencji i zadań innych wydawców. Czy miałoby dość pracy? Jestem przekonany, że tak. Spore dochody powstawałyby z wysokich nakładów tanich lektur, nierzadko broszurowych. Wszak na zaspokojenie potrzeb pierwszej informacji o twórczości naszego Wieszca — Adama nie potrzeba jubileuszowego wydania „Pana Tadeusza” w... skórzanej oprawie. O wiele prościej, szybciej i skuteczniej, bo powszechniej — mogłoby tu za działać PWLS.

Sądzę przeto, że dostatecznie wyraźnie rozszyfrowałem tytuł niniejszego felietonu, pisanego z myślą o... biegających po księgarniach i bibliotekach rodzicach. Ja do nich także należę.

Komu premię?

Dokończenie ze str. 1

dzień, kto otrzymał nagrodę i w jakiej wysokości. Rezultatem tego były opowieści, obiegające załogę, o bajecznych nieraz sumach, jakie miał otrzymać inżynier Y, bądź kierownik Z.

Partia przywiązuje wiele uwagi do systemu rzetelnie stosowanych bodźców materialnych i reprezentuje pogląd, że obok jawności przy podejmowaniu decyzji o wyróżnianiu pracowników, konieczny jest udział czynnika społecznego: POP oraz rady zakładowe. Opowiadając się za prawem (i obowiązkiem) kierowników zakładów pracy do jednoosobowej decyzji, partia domaga się respektowania socjalistycznej zasady wysłuchiwanie opinii reprezentantów załogi.

Niezawodnego i bezbłędnego systemu wyróżniania ludzi do tej pory nie opracowano i zapewne opracować się nie da. Nawet gdyby uciec się do pomocy elektronowych mózgów. Nie da się dlatego, że niesposób doprowadzić do idealnego zobiektywizowania poglądów grona ludzi na pewne sprawy. Tak więc zjawiska niezadowolonych nie da się całkowicie wyeliminować. Rzecz w tym, jakie to zjawisko mieć może rozmiary; czy chodzi o sporą część załogi czy o jednostki. Jednym słowem — czy polityka wyróżniania daje zamierzony, społeczny pożytek, czy nie.

WIESŁAW PORZYCKI

WINOGRADY

Dokończenie ze str. 1

mzytem (są to kulki o średnicy od 10 do 40 mm, wypalane z gliny), który użyty ma być do płyt elewacyjnych. Od takiego materiału wymaga się by był konstrukcyjny, a więc ciężki i równocześnie — by był izolacyjny a więc lekki. Sprzeczności, które trzeba jednak pogodzić. Sprawa nie jest więc prosta.

Kolejny problem, to tzw. mała architektura. Tutaj projektanci chcą za stosować typowe, powtarzające się elementy, które przy innym ustawieniu spełniałyby odmienne funkcje. Np. jakiś element ustawiony tak byłby ławeczką, odwrócony mógłby być korytkiem na kwiaty lub czymś w tym rodzaju. Idea jest, brak na razie klucza do jej praktycznego rozwiązania.

Ostatnia wreszcie sprawa, to ogólny wyraz plastyczny całego osiedla. Mimo sięgnięcia po pomoc plastyków, przy najlepszej nawet wyobraźni plastycznej, pewne rzeczy „dada się zobaczyć”, sprawdzą się po zakończeniu pierwszej części. I wtedy przyjdzie dopiero czas na poprawki...

Od projektu do realizacji droga jest daleka. Nasze budownictwo zna już niejedną przykłąd pięknego projektu, z którego powstała wcale nie piękna realizacja. Autorzy Winogradu, zapytani przez dziennikarza o te sprawy, odparli, że w tym przypadku żadne odchylenia od projektu na niekorzyść nie wchodzi w rachubę.

Za tym, że tak powinno być, przemawia nie tylko jakoś zaproponowanych rozwiązań i ich pełna komleksowość, lecz także ich realność. Będą jednak nie tylko realistami, lecz i trochę sceptykami. Za parę lat skonfruntujemy projekt z rzeczywistością.

MARIAN FLEJSIEROWICZ

Wśród przyjaciół Madz'arów

W Kecskemecie zachęcono mnie do zwiedzenia szkoły umysłokształniającej, będącej dumą tego miasta. Jej uczniowie — oprócz normalnego nauczania podstawowego (8 klas) i średniego (4 klasy), zdobywają wykształcenie muzyczne. Krzewią oni później muzykę śpiew, i taniec ludowy w miejscach późniejszej pracy. Szkoła jest rzeczywiście piękna i prowdzona wzorowo. Jako jedyna tego typu na Węgrzech, odwiedzana jest przez liczne delegacje z kraju i zagranicą.

Kilkanaście kilometrów od Kecskemetu odwiedziłem typową — jak mi oświadczone — szkołę wiejską. W trzech izbach lekcyjnych nauka odbywa się systemem łączonym. Lekcje prowadzi razem klasy: pierwsza z trzecią drugą z czwartą, piątą z szóstą, szóstą z ósmą. Szkoła nie dysponuje ani pracownią, ani salą gimnastyczną. Pomoce naukowe mieszczą się w jednej szafie.

Judith Tarjan była przez szereg lat inspektorem szkolnym w powiecie Kecskemet, obecnie jest nauczycielką w jednej z podmiejskich miejscowości. Problemy szkolnictwa znane są jej więc zarówno od strony administracyjnej, jak i praktycznej. Pani Tarjan mówi, że ogromnym osiągnięciem władzy ludowej jest ustepnienie ośmioletniego nauczania dla wszystkich dzieci. W pierwszych latach po wyzwoleniu trzeba było zbudować setki szkół, zwłaszcza w małych miejscowościach. Wiele trudności i nakładów kosztowało stworzenie sieci szkolnej o promieniu nie przekraczającym w zasadzie 5 kilometrów. Nie budowano bynajmniej pałaców; lokale szkolne wzniesione w tamtych latach prezentują się raczej skromnie.

To co przed 10—15 laty wydawało się ogromnym osiągnięciem, dzisiaj okazuje się niewystarczające. Nauka prowadzona systemem klas łączonych jest uważana za zło konieczne. Tymczasem ta właśnie metoda dominuje w węgierskim szkolnictwie wiejskim. Oto na 105 szkół w powiecie Kecskemet, aż 87 to „czteroklasówki” prowadzące naukę metodą klas łączonych. Spędzają one sen z powiek pedagogów i działaczy oświaty. Jeszcze większy niepokój budzą szkoły jednoklasowe, realizujące 8-letni program nauczania. Szkół takich w powiecie Kecskemet jest jeszcze osiem. Jak wykazały ba-

dania, zaledwie 3 procent uczniów takich szkół chce kontynuować naukę (w miastach 80 proc.). W rozproszonych osadach (taniach), odległych nie raz od szkoły 5—8 kilometrów, obowiązek szkolny często nie jest wypełniany. Zwłaszcza zimą i w wiosno-jesienne roztopy droga wiejskich dzieci do szkoły jest niezmiernie trudna. Zdaniem mojej rozmówczyni, zły frekwencji sprzyja również zbyt małe sankcje stosowane wobec rodziców, których dzieci nie wypełniają obowiązków szkolnego. W czasie winobrania czy też pilnych zabiegów pielęgnacyjnych w winnicach i sadach, dość częste jest zjawisko zatrzymywania dziecka przy pracy. Mniej świadomi rodzice wolą bowiem zapłacić 20 forintów grzywny...

Obecny wysiłek węgierskiego szkolnictwa zmierza do podniesienia poziomu nauczania, zwłaszcza w małych wsiach. Plany na najbliższą przy-

Feliks Bifos

Węgierska droga do szkoły

szłość przewidują pokrycie kraju siecią internatów, w których zamieszkają dzieci z odległych osad. To jedyny sposób stworzenia tej młodzieży realnych szans równego startu na drodze do wiedzy i zawodu. Ale to dopiero sprawa przyszłości. W największym województwie Bacs-Kiskun wzniesiono do tej pory zaledwie 8 takich internatów.

Tymczasem władze robią wiele, aby pozyskać dla wiejskich szkół możliwie najlepsze kadry pedagogiczne. W kraju, gdzie co piątą obywatel mieszka w stolicy, nie jest to takie proste. Dlatego nauczycielom decydującym się na podjęcie pracy na wsi stwarzane są wyjątkowo dobre warunki. Obowiązuje zasada: im dalej od centrów wielkomiejskich, tym wyższe zarobki. Tak np. młody nauczyciel, którego pensja w mieście wynosi 1150 forintów (po studiach uniwersyteckich 1250 forintów), otrzymuje na wsi 200 for. miesięcznego dodatku plus 2000 forintów na zagospodarowanie. Oprócz tego każdy wiejski nauczyciel otrzymuje 1 hold ziemi (0,7 ha). Dobrze prowadzona na takim areale winnica

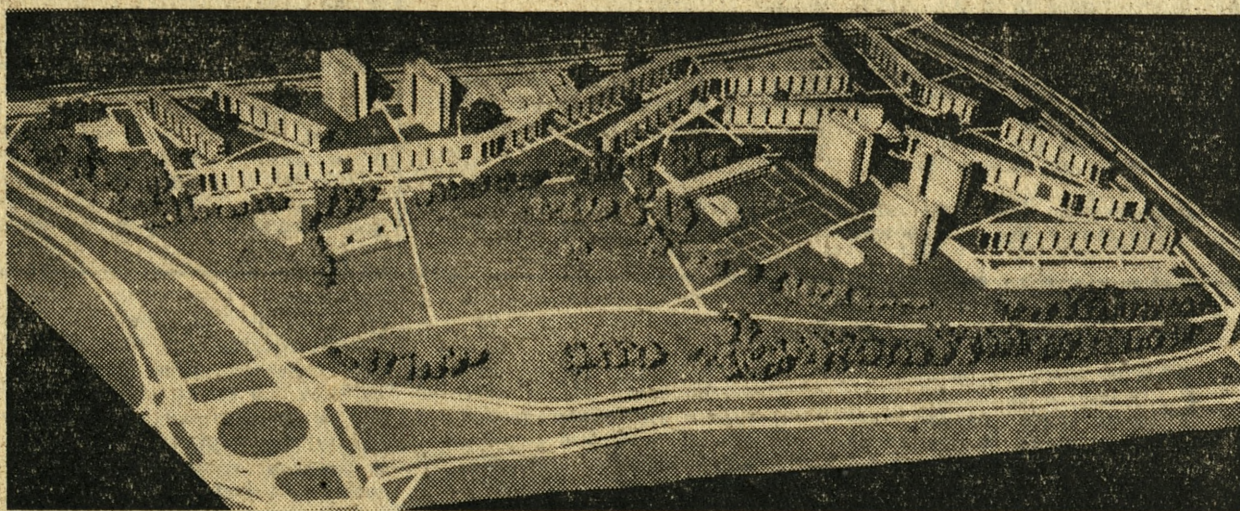
przynosi średnio 70 tys. forintów rocznie.

Chociaż miejscowe rady narodowe mają obowiązek zapewnić nauczycielom bezpłatne mieszkanie, około 70 000 nauczycieli wiejskich otrzymało po 140 tys. forintów kredytu na budowę własnych domów. Po 9 latach pracy kredyt ten umarza się do 80 000 for., a po 15 latach do 60 000 for. Oprócz tego ministerstwo oświaty partycypuje w budowie wiejskich domów nauczycielskich (codziennie przekazuje się na Węgrzech 1—2 takie budynki). Obowiązuje zakaz angażowania nauczycieli wiejskich do prac społecznych, nie związanych bezpośrednio ze sprawami nauczania i wychowania.

Wszystko to sprawia, że na wsi osiedla się wielu ludzi młodych, wykształconych i ambitnych, którzy mimo trudnych często warunków lokalowych i braku właściwego wyposażenia szkół, dążą do góry poziom nauczania i wychowania.

Z rozmów z węgierskimi pedagogami wywnioskowałem, że są oni raczej przeciwni wprowadzaniu do szkół eksperymentów i nowinek. Kiedy pani Tarjan zrelacjonowała ideę naszych „klaspracowni”, spotkałem się ze stanowczą opozycją wobec tej metody. — Jestem przeciwno „klasom wędrującym” — mówiła. W naszych warunkach — przy osłabieniu więzi rodzinnej — jest to metoda nie do przyjęcia. Byłoby to po prostu marnowaniem tak cennego kapitału wychowawczego, jaki stanowi grupa klasowa, z własną salą i obranym przez siebie patronem. Sala, o którą trzeba dbać w sensie higieny, poszanowania mebli itp. Naszym ideałem — mówi pani Tarjan, jest dobre wyposażenie gabinetów fizyki, chemii i zajęć technicznych. Pozostałe lekcje — poza wychowaniem fizycznym — winny się odbywać we własnych klasach.

U nas tu i ówdzie słyszy się także nieśmiało wprawdzie głosy, wypowiadające się z tych samych względów przeciwko „klasom wędrującym”. W sumie jednak nasze szkolnictwo — również wiejskie — w porównaniu z węgierskim, prezentuje piękny dorobek. Przynajmniej tamtejsi pedagodzy, szczególnie zazdroszcząc Polsce tak wspaniałego dzieła, jakim jest 1000 szkół na Tyśiąclecie.



Winogrady. Tak wygląda makieta jednolitej D oglądana od strony ul. Serbskiej.

Olgierd Białewicz

Propozycja warta przedyskutowania

PLASTYKA

Współczesnej plastyce toczy się dziś gra o nowe wartości. Wystawy młodych twórców preferują inny kształt plastyki niż ten, którym żyją malarze poprzedniej generacji: postimpresjonizm czy abstrakcja. Dla wielu młodych malarzy obraz staje się na nowo środkiem komunikowania odbiorcy pewnych treści, przeżyć i emocji, okazją do pokazania własnego stosunku do świata. Do głosu dochodzi język wypowiedzi ekspresjonizmu, obrazów młodych są drapieżne, brutalne, przedmiotowe. W tym nowym malarstwie figuralnym szczególnie wiele zdają się mieć do powiedzenia młodzi malarze z poznańskiego PWSSP. Niedawno dowiódł tego pokaz prac studenckich w Salonie Młodych Twórców Pałacu Kultury, obecnie dalszych przykładów na to, w kształcie znacznie bardziej pogłębionym i dojrzałym, dostarcza wystawa malarstwa Jana Świtki — asystenta tej Szkoły w galerii ZPAP w Arsenale.

Młody autor wystawy (z rocznika 1939) należy dziś już do grona czołowych malarzy swej generacji. Umie malować i rysować, ma warsztat i wyobraźnię. Malarstwo jakie podjął nie jest oczywiście całkowicie jego własnym odkryciem, wynalazkiem. Widać w nim przede wszystkim źródła inspiracji sławnego w świecie Anglika — Francisca Bacona i idące w ślad za nim „Nowej Figuracji”. Wydaje się zresztą, że trudno byłoby nawet wymagać od młodego malarza, aby sam wszystko od początku odkrywał. Malarzy odkrywców nie dał przecież nasz wiek wcale tak wiele, jak się to jeszcze kilka lat temu wydawało. Najistotniejszą cechą malarstwa Świtki nie będzie więc tyle odkrywczość co wewnętrzny dramatyzm, ekspresja, siła działania. Ale przy tym także pewien rozdział między stroną estetyczną a wyrażeniową obrazu.

Świtka nie chce ładnie malować, program estetyczny nie zadowala go, język malarstwa koloryzmu i abstrakcji nie wystarcza mu, bo nie pozwala na wypowiedzenie treści. Nie może on jednak w pełni przełamać programu estetycznego uformowanego w latach kultu malarstwa, warsztatu, samej materii obrazu. Nie może przede wszystkim dlatego, że nie ma jeszcze tyle ważnego do powiedzenia, by treść obrazu i jego wszystkie dramatyczne spiecia mogły same narzucić formę. Dramatyczny krzyk, ekspresja i brutalne wyekspozowanie fabuły dla twórców tego pokolenia jest bowiem w większym stopniu środkiem do pokazania własnej osobowości malarza niż sprawą osobistego przeżycia i pogłębienia tematu. Tragedie, które odzyskują na płótnach młodych malarzy wynikają bowiem z doświadczeń innych. Z opowieści starszych, z lektury.

Wystawa malarstwa Jana Świtki jest jednak w moim przekonaniu jednym z najciekawszych pokazów młodej plastyki w Poznaniu. Wiele jego obrazów i rysunków (szczególnie cykl rysunków „Gonitwa”), to prace artystyczne duże formatu. Prace, które nie można rozpatrywać tylko w kategoriach dobrego obrazu, Poznańskie środowisko plastyczne otrzymało w każdym razie w Arsenale propozycję sztuki naprawdę wartą przedyskutowania.



O pewnej tendencji w socjologii

W naszych przeglądach prasy z reguły nie zajmujemy się omawianiem recenzji. Jeśli czynimy wyjątki, to w takich wypadkach, kiedy autorzy recenzji zajmują się problemami o szerszym znaczeniu niż sama książka. Taką właśnie recenzję przynosi pierwszy tegoż roczny zeszyt kwartalnika „Przegląd Humanistyczny”. Wybitny uczyony — prof. Józef Chalasiński recenzuje na jego łamach książkę Zygmunta Baumana pt. „Kultura i społeczeństwo. Preliminarium” i przy tej sposobności ocenia pewną niepokojącą tendencję w naszej socjologii; prof. Chalasiński zastanawia się nad miejscem tej publikacji w polskiej socjologii kultury.

„Autor — pisze prof. Chalasiński — postawił swej książce bardzo ambitne za-

danie w zakresie „ponaddydiscyplinarnej syntezy”. Autor pisze na ten temat we wstępie: (...) Największą szansę stworzenia rzeczy istotnie nowych i otwierających nowe perspektywy poznawcze ma uczyony wtedy, gdy wychodzi poza obręb jednej dyscypliny i uwalnia się w ten sposób od zintytualizowanej rutyny, składającej inwencję w ofierze konformizmowi metodologicznemu” (s. 29 — 30).

Po tej obiecującej zapowiedzi autor w kilku zdaniach zafatwiał się o funkcjonalizm Bronisława Malinowskiego. Malinowskiemu zarzuca nieprecyzyjność myślenia, a doniosłość własnych ustaleń teoretycznych widzi „między innymi w uświadomieniu badaczom niedopuszczalności niefrasobliwego traktowania jako systemu wszelkiego zbioru elementów kultury” (s. 55).

Z polskiej twórczości socjologicznej kilkakrotnie cytowany jest Stanisław Ossowski, wysoko ceniony również Kazimierz Dobrowolski. Najwyższe uznanie żywi jednak autor do twórczości swoich warszawskich kolegów. We wstępie, w wywodach na temat struktury solidaryzuje się z poglądami, jakie dał „w największym ze swych znakomitych dzieł Leszek Kołakowski” (s. 11). Mowa o książce Kołakowskiego „Świadomość religijna i wielkość” (1965). Z obowiązku rozwinięcia swego krytycznego stanowiska wobec funkcjonalizmu, uważa się autor za zwołanego przez „znakomitą szkie Marii Hirszowicz” (s. 87). Podkreśla „wnikliwe spostrzeżenia” (s. 26) Bronisława Baczki w jego książce o Rousseau, to znów odwołuje się do

wywodów Bogusława Gałęskiego „w znakomitym studium o ogólnych prawidłowościach zmian społecznych na wsi” (s. 387). Gdzie indziej wspomina „ciekawe wyniki eksperymentów J. Frentzel i J. Grzelaka” (s. 173), „trafne określenie Elżbiety Neyman” (s. 219) i „trafne wyrażenie” (s. 238), „żywa historia” Niny Assorodobraj — z artykułów publikowanych w redagowanych przez siebie „Studiach Socjologicznych”. Materiał ilustracyjny i dowodowy do rozważań teoretycznych i metodologicznych czerpie autor z całego świata, tu i tam również z kraju; socjologiczna analiza przeobrażeń w naszym kraju nie była zamiarem autora.

Nie jest to jednak książka oderwana od problematyki nurtującej społeczne środowisko intelektualne. Wiąże ją w szczególności bliski związek z zagadnieniem alienacji, które przed paru laty było tematem dyskusji również poza środowiskiem „intelektualistów”. Problemem tej książki jest osobowość człowieka zagubionego w nowoczesnym społeczeństwie w sytuacjach rozdziału pomiędzy kulturą i społeczeństwem.

Prof. Chalasiński daje z kolei próbę poznawczych rezultatów książki Baumana: „Wprowadzając cały szereg innych rozróżnień — pisze prof. Chalasiński — autor prezentuje czytelnikowi następującą klasyfikację znanych zbiorowości ludzkich, które uszeregowal według różnych „kombinacji cech dychotomicznych”:

„Państwo: niekontraktowa korporacja organiczna o integracji pośredniej.

Organizacja instrumentalna: kontraktowa korporacja organiczna o integracji pośredniej.

Kasta lub stan: niekontraktowa korporacja nieorganiczna o integracji pośredniej.

Organizacja wyrażająca (ekspresyjna): kontraktowa korporacja nieorganiczna o integracji pośredniej.

Rodzina: niekontraktowa korporacja organiczna o integracji bezpośredniej.

Banda lub kłosa: kontraktowa korporacja organiczna o integracji bezpośredniej.

Spółczesność sąsiedzka: niekontraktowa korporacja nieorganiczna o integracji bezpośredniej.

Sekta: kontraktowa korporacja nieorganiczna o integracji bezpośredniej.

Klasa i naród: niekontraktowa całość nieorganiczna o integracji pośredniej” (s. 70—71).

Przytoczyłem tę klasyfikację, ponieważ trudno znaleźć w literaturze socjologicznej coś bardziej dziwaczego. Według tej klasyfikacji pomiędzy bandą a rodziną jest tylko ta różnica, że rodzina jest niekontraktowa, a banda kontraktowa i podobnie między społecznością sąsiedzka a sektą: społeczność sąsiedzka jest niekontraktowa a sekta kontraktowa; naród i klasa to w tej klasyfikacji kategorie identyczne. Do klasyfikacji tej autor zresztą nie powraca więcej w swojej książce. Również jemu samemu na nie się ona nie przydała.

Prof. Chalasiński dochodzi do wniosku, że książka Baumana „jako przejaw socjologicznej produkcji uniwersyteckiej jest zjawiskiem niepokojącym”. „Książka — stwierdza prof. Chalasiński — ma charakter brulionowego notatnika z lektury, która posłużyła autorowi do werbalistycznych konstrukcji, nie przyczyniających się do wzbogacenia naszej socjologicznej wiedzy o kulturze (...) Jeżeli na zakończenie miałyby krótko określić intelektualną kolebkę, która wykołysała tę nieudaną książkę o kulturze i społeczeństwie, to widziałbym ją pomiędzy snobistyczną modą na strukturalizm a tym kultem nauki, o którym humanistycznie, choć bez takiego zamiaru, napisał autor tej książki w słowach: „Nauka ma być protezą człowieka zagubionego w świecie integrowanym przez krążenie towarów” (s. 450).

W prasie tygodniowej piszą: o patriotyzmie, nacjonalizmie i internacjonalizmie — Jerzy J. Wiater we „Współczesności”; o nie zagrożonej w Polsce (tak przynajmniej uważają autorzy) pozycji węgla w porównaniu z innymi surowcami energetycznymi — Bolesław Krupiński i Aleksander Szpilewicz w „Polityce”; o latach 1940—43 na polskim zachodzie (fragment książki „Generał Sikorski”) — Olgierd Terlecki w „Życiu Literackim”; o szczegółach technicznych budowy silników samolotu — „Polski FIAT-125 P” — tygodnik „Motor”; o problemach taksówkarzy — Anna Renner w „Tygodniku Demokratycznym”.

LEKTOR